

Osobliwe szczęście Arthura Peppera



Phaedra Patrick





Niespodzianka w szafie

Arthur codziennie wstawał dokładnie o siódmej trzydzieści, tak jak to robił za życia swojej żony, Miriam. Brał prysznic i ubierał się w szare spodnie, jasnoniebieską koszulę i musztardową kamizelkę, które przygotowywał poprzedniego wieczoru. Potem golił się i schodził na dół.

O ósmej szykował sobie śniadanie – zwykle grzanekę z margaryną – po czym siadał przy rustykalnym sosnowym stole, przy którym pomieściłoby się sześć osób, ale przy którym teraz jadał tylko on sam. O ósmej trzydzieści mył naczynia i zgarniał dłonią okruchy z blatów, zanim przecierał je dwiema jednorazowymi chusteczkami o zapachu cytrynowym. W ten sposób zaczynał dzień.

Gdyby to był jakikolwiek inny poranek w maju, Arthur ucieszyłby się pewnie, że już świeci słońce. Mógłby zająć się ogródkiem, powyrywać chwasty i przekopać ziemię. Promienie grzałyby go w kark i pieściły skórę głowy, aż zrobiłaby się różowa i swędząca. Dzięki temu czułby, że jeszcze tu jest, żyje i nadal

jakoś to wszystko ciągnie.

Ale to był piętnasty i wszystko wyglądało inaczej. Nadeszła rocznica, której bał się od wielu tygodni. Ta data przyciągała jego wzrok za każdym razem, kiedy przechodził obok kalendarza „Cudowne Scarborough”. Patrzył na nią przez chwilę, po czym wynajdował sobie jakiekolwiek zajęcie, byle nie myśleć o niej. Podlewał paprotkę, Fredericę, albo otwierał okno w kuchni i wrzeszczał: „Zmiatajcie!”, by pogonić koty z sąsiedztwa, które lubiły korzystać z jego skalniaka jak z publicznej toalety.

Mijał dokładnie rok od czasu, kiedy umarła jego żona.

„Odeszła”, jak to się zwykle mówi. Tak jakby „umarła” było słowem niecenzuralnym. Arthur nie znosił określenia „odeszła”. To brzmiało tak łagodnie jak falowanie wody, gdy sunie po niej łódź, albo ruch powietrza unoszący bańkę mydlaną na tle bezchmurnego nieba. A przecież śmierć Miriam nie przypominała żadnej z tych rzeczy.

Po czterdziestu latach małżeństwa został sam w domu z trzema sypialniami i łazienką z wygodnym prysznicem, który ich dorosłe dzieci, córka Lucy i syn Dan, poradzili im zamontować za pieniądze z emerytury. Świeżo zainstalowane szafki w kuchni były z prawdziwego bukowego drewna, a piecyk miał kontrolki jak na stacji kosmicznej. Arthur na wszelki wypadek nigdy go nie używał, żeby nie wylecieć z całym gospodarstwem w powietrze.

Okropnie brakowało mu w domu śmiechu. Tęsknił za tupotem nóg na schodach, a nawet za trzaskaniem drzwi. Chciałby znaleźć porzucone rzeczy do prania na półpiętrze i potykać się w korytarzu o ubłocone kalosze. Dzieci mówiły na nie „kaloszaki”. Cisza samotności mocniej raniła uszy niż jakiekolwiek hałasy życia rodzinnego, na które dawniej tak utyskiwał.

Wytarł właśnie blat i zmierzał do frontowego pokoju, kiedy rozległ się świrdujący czaszkę, przeraźliwy dźwięk. Instynktownie

przywarł plecami do ściany. Otwartą dłońią oparł się o wytłaczaną tapetę w kolorze magnolii. Poczul pod pachami pot. Przez uformowane w kształty stokrotek szkiełka w drzwiach frontowych dostrzegł majaczący na zewnątrz duży purpurowy kształt. Arthur był uwięziony we własnym korytarzu.

Dzwonek do drzwi odezwał się znowu. Niesamowite, że ona potrafi wydobyć z niego tyle decybeli. Jakby to była syrena straży pożarnej. Podciągnął ramiona, żeby chronić uszy. Serce mu waliło. Jeszcze tylko kilka sekund i ona na pewno się zniechęci i odejdzie. Ale nagle odchyliła się klapka do wrzucania poczty.

– Arthurze Pepper. Otwieraj. Wiem, że tam jesteś.

To już trzeci raz w tym tygodniu go nachodziła. Jego sąsiadka Bernadette. Przez ostatnich kilka miesięcy starała się karmić go wieprzowiną w cieście i domowymi pasztecikami. Czasami dawał za wygraną i otwierał, ale najczęściej nie.

W zeszłym tygodniu znalazł w korytarzu pasztecik, wystający z papierowej torebki niczym wystraszony zwierzak. Uprzątnięcie wszystkich okruchów z jutowego dywanika w holu zajęło mu wieki.

Musiał zachować spokój. Jeśli się ruszy, ona zorientuje się, że się ukrywał. Wtedy trzeba będzie wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Powiedzieć, że wyrzucał śmieci albo podlewał pelargonie w ogrodzie. Ale czuł się zbyt umordowany, żeby jeszcze kombinować. Szczególnie w taki dzień.

– Wiem, że tam jesteś, Arthurze. Nie musisz przechodzić tego sam. Masz przyjaciół, którzy się o ciebie troszczą.

Klapka załopotała. Na podłodze wylądował folder we wrzosowym kolorze – „Kumple w żałobie”. Z nieudolnie namalowaną lilią na okładce.

Choć od ponad tygodnia z nikim nie rozmawiał, a w lodówce został mu tylko mały kawałek żółtego sera i przeterminowane

mleko, miał przecież swoją dumę. Nie dołączy do stadka beznadziejnych przypadków Bernadette Patterson.

– Arthur!

Zacisnął mocno powieki i trwał w bezruchu niczym kamienny posąg w jednej z pięknych podmiejskich rezydencji. Razem z Miriam uwielbiali zwiedzać takie posiadłości, ale tylko w tygodniu, kiedy nie było tłumów. Tak bardzo chciałby znaleźć się tam z nią teraz, słyszeć chrzęst żwiru pod stopami, podziwiać bielinki fruwające wśród róż i myśleć z apetytem o dużej porcji ciasta biszkoptowego w tamtejszej herbaciarni.

Na wspomnienie żony ścisnęło go w gardle, ale nie zmieniał pozycji. Naprawdę wołałby być z kamienia, byle tylko już nie odczuwać bólu.

Wreszcie klapka do wrzucania poczty zamknęła się z trzaskiem. Purpurowy kształt się oddalił. Arthur pozwolił, by rozluźniły się jego palce, a potem łokcie. Poruszył ramionami, żeby zrzucić z siebie napięcie.

Nie całkiem pewien, czy Bernadette nie czai się przy furtce, uchylił lekko drzwi. Przyłożył oko do szczeliny i wyjrzał na dwór. W ogrodzie naprzeciwko Terry, który związywał sobie dredy czerwoną bandaną i wiecznie przyszczygał trawnik, wyciągał właśnie z szopy kosiarkę. Dwójka rudych dzieci z sąsiedztwa biegała wte i wewte po ulicy. Jak zwykle boso. Gołębie zapaskudziły przednią szybę jego dawno nieużywanego nissana micry. Arthur uspokoił się trochę. Wszystko wróciło do normy. Rutyna jest dobra.

Przeczytał folder i odłożył go równiutko na inne, które wcześniej podrzuciła mu Bernadette – „Przyjaciele w działaniu”, „Stowarzyszenie rezydentów Thornapple”, „Jaskiniowcy” i „Festyn lokomotyw Kolei Wrzosowisk Północnego Yorkshire” – a potem zmusił się, żeby pójść zrobić sobie filiżankę herbaty.

Bernadette zrujnowała mu porządek poranka. Wytrąciła go z równowagi. Rozstrojony, za wcześnie wyjął torebkę herbaty z czajniczka. Powąchał mleko wyjęte z lodówki, skrzywił się i wylał je do zlewu. Będzie musiał wypić czarną. Smakowała jak opilki żelaza. Ciężko westchnął.

Tego dnia nie miał zamiaru myć mopem podłogi w kuchni ani zawzięcie odkurzać chodnika na schodach, który robił się od tego coraz bardziej wyleniały. Nie planował też polerować kranów w łazience ani składać ręczników w równiutkie kwadraty.

Sięgnął po grubą czarną rolkę worków na śmieci, którą przygotował na stole, i niechętnie wziął ją do ręki. Mocne. W sam raz.

Żeby się podbudować, raz jeszcze przeczytał ulotkę fundacji Dobroczyńcy Kotów. „Wszystkie przekazane rzeczy sprzedaje się, by zebrać fundusze na pomoc dla bezdomnych kotów i kociąt”.

Arthur sam nie należał do miłośników kotów, zwłaszcza odkąd bezcześciły mu skalniak, ale Miriam lubiła je, choć miała na nie uczulenie i ciągle przy nich kichała. Schowała tę ulotkę pod telefonem i Arthur uznał to za znak, że właśnie tej organizacji powinien przekazać jej rzeczy.

Rozmyślnie odwołując zadanie, z którym musiał się zmierzyć, powoli wspinał się po schodach. Przystanął chwilę na podeście. Przeglądanie jej szafy było niczym ponowne żegnanie się z nią. Tak jakby usuwał ją ze swojego życia.

Ze łzami w oczach popatrzył przez okno na ogród za domem. Gdyby stanął na palcach, mógłby zobaczyć szczyty katedry York Minster, której kamienne szpiczaste zwieńczenia zdawały się podpieścić niebo. Miasteczko Thornapple, gdzie mieszkał, leżało na obrzeżach dużego miasta. Z kwitnących drzew wiśni zaczynały już opadać płatki, wirując w powietrzu niczym różowe konfetti. Ogród był z trzech stron otoczony wysokim drewnianym płotem,

który osłaniał go przed wzrokiem ciekawskich. Żaden sąsiad nie mógł wychylić się zza niego, żeby zagadać. Arthur z Miriam lubili swoje towarzystwo. Wszystko robili razem i to im odpowiadało, na szczęście.

Mieli cztery wyższe grządki, które Arthur zbudował na podkładzie z grubych desek. Rosły tam buraki, marchew, cebula i ziemniaki. W tym roku mógłby spróbować wyhodować tu nawet dynie. Miriam robiła wspaniałego duszonego kurczaka w jarzynach i domowe zupy. Ale on nie umiał gotować. Piękne czerwone cebule, które zebrał zeszłego lata, leżały na blacie w kuchni tak długo, aż zwiędły jak on i musiał je wyrzucić.

Wreszcie pokonał resztę schodów i dobrnął zdyszany do drzwi łazienki. A kiedyś bez trudu biegał w górę i w dół za Lucy i Danem. Teraz jednak wszystko zabierało więcej czasu. W kolanach mu strzykało, był pewien, że wysycha. Dawniej czarne włosy zrobiły się białe jak u gołąbka (choć nadal były tak gęste, że nie dało się ich przyczesać), a zaokrąglony czubek nosa wydawał się z dnia na dzień bardziej czerwony. Nie wiadomo, kiedy w miejsce młodego pojawił się stary człowiek.

Przypomniiał sobie, jak podczas ostatniej rozmowy z Lucy, kilka tygodni temu, córka powiedziała: „Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś uprzątnął rzeczy mamy. Poczujesz się lepiej. Będziesz mógł ruszyć dalej”. Dan od czasu do czasu dzwonił z Australii, gdzie mieszkał teraz z żoną i dziećmi. On wyraził się mniej delikatnie: „Wywal to wszystko. Nie zamieniaj domu w muzeum”.

Ruszyć dalej? Niby dokąd, do cholery? Miał sześćdziesiąt dziewięć lat, nie był nastolatkiem, który może pójść na studia albo zrobić sobie rok wolnego na podróż. Ruszyć dalej... Westchnął i poczłapał do sypialni.

Powoli otworzył lustrzane drzwi szafy.

Brązy, czernie, szarości. Miał przed sobą ubrania w kolorach ziemi. Zabawne, nie pamiętał, żeby Miriam ubierała się tak ponuro. Stał mu w oczach obraz. Młoda Miriam obraca się w koło, trzymając Dana za rękę i nogę – samolot! Ma na sobie niebieską plażową sukienkę w groszki i białą chustkę. Z odchyloną głową śmieje się i zaprasza Arthura do zabawy. Ale ta wizja zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Jego ostatnie wspomnienia o Miriam przypominały kolorem ubrania z szafy. Szarość. Srebrzyste włosy na kształt kąpielowego czepek. Wiedła w oczach, jak te cebule.

Chorowała kilka tygodni. Zaczęło się od infekcji dróg oddechowych, jak co roku, kiedy musiała dwa tygodnie leżeć w łóżku i brać antybiotyki. Ale tym razem infekcja przeszła w zapalenie płuc. Lekarz zalecił, by Miriam poleżała dłużej, a ona, choć nie lubiła się ze sobą cackać, posłuchała.

Arthur zastał ją nieruchomą, z szeroko otwartymi oczami. Z początku myślał, że patrzy na ptaki na drzewie, ale kiedy potrząsnął ją za ramię, nie zareagowała.

Połowę jej garderoby stanowiły blezery. Wisiały bezkształtne, z powyciąganymi rękawami, jakby pożyczyły je sobie goryle, a potem znów wcisnęły do szafy. Dalej były spódnice. Granatowe, szare, beżowe. Do połowy łydki. Poczuł zapach jej perfum, coś jakby róże i konwalie. Tak bardzo chciałby wtulić nos w jej szyję. Choć jeszcze ten jeden raz, Boże. Tak mocno pragnął, żeby to wszystko okazało się złym snem, a Miriam siedziała na dole, rozwiązując krzyżówkę albo pisząc list do kogoś z przyjaciół, których poznali na wakacjach.

Pozwolił sobie posiedzieć na łóżku i poużalać się nad sobą przez parę minut, po czym szybko oderwał z rolki dwie torby i potrząsnął nimi, żeby się otworzyły. Musi to zrobić. Jeden worek pójdzie do organizacji charytatywnej, drugi do śmieci. Wyjmował naręcza ubrań, związał i wkładał do worka dla fundacji. Kapcie

Miriam, znoszone, z dziurą na palcu, poszły do tego na śmieci. Pracował szybko, w ciszy. Nie przerywał, żeby się nie rozkleić. W połowie roboty w worku dla fundacji wylądowały szare sznurowane buciki Hush Puppies i prawie identyczne marki Clarks. Potem wyciągnął duże pudło, a z niego porządne, obszyte futerkiem brązowe zamszowe botki.

Przypomniawszy sobie jedną z historii Bernadette. Podobno kupiła kiedyś botki na pchlim targu i znalazła w nich los na loterię (niestety nic nie wygrała). Teraz więc automatycznie wsunął dłoń do jednego buta (pusto), po czym sprawdził drugi. Zaskoczony natrafił na coś twardego. Dziwne. Chwycił palcami i wyciągnął to coś.

Miał w dłoni pudełeczko w kształcie serca. Było pokryte wytłaczaną szkarłatną skórą i zamknięte na malutką złotą klódeczkę. Poczł niepokój. Chyba przez ten kolor. Wydawało się drogie, zbyt kosztowne. Może to prezent od Lucy? Nie. Na pewno by je zapamiętał. A sam nigdy nie kupiłby żonie czegoś takiego. Lubiła rzeczy proste i praktyczne. Jak skromne srebrne kolczyki w kształcie kuleczek albo ładne rękawice kuchenne. W czasach swojego małżeństwa zawsze ledwie wiąźali koniec z końcem, zaciskali pasa i odkładali pieniądze na czarną godzinę. Kiedy wreszcie zdecydowali się trochę zaszaleć, wydając na kuchnię i łazienkę, niedługo się tym cieszyła. Nie, ona też nie kupiłaby takiego pudełka.

Przyjrzał się dziurce na klucz w klódeczce. A potem pogrzebał na dnie szafy, pomiędzy butami Miriam, robiąc nieco bałaganu. Ale nie znalazł kluczyka. Wziął nożyczki do paznokci i spróbował otworzyć zamek, jednak ten dzielnie stawiał opór. Arthur robił się coraz bardziej ciekawy. Niezdolny pogodzić się z porażką, zszedł do kuchni. Prawie pięćdziesiąt lat pracował jako ślusarz, a nie daje rady dobrać się do głupiego pudełka. Z dolnej szuflady

wyciągnął dwulitrowy pojemnik po lodach, który służył mu za skrzynkę na narzędzia – jego magiczne przybory.

Wrócił do sypialni, usiadł na łóżku i wyciągnął kółko z wytrychami. Włożył najmniejszy do dziurki i zaczął nim kręcić. Tym razem usłyszał kliknięcie i pudełko uchyliło się na kilka milimetrów, jak usta, które zaraz wyjawia jakiś sekret. Zdjął kłódeczkę i uniósł wieczko.

Wnętrze było wyłożone czarnym gniecionym aksamitem. Kwintesencja dekadencji i luksusu. Ale dopiero na widok bransoletki z przywieszkami naprawdę dech mu zaparło. Solidny złoty łańcuch o okrągłych oczkach, z zapięciem w kształcie serca. Kolejne serce.

Jeszcze bardziej niezwykle były przywieszki przyczepione do bransoletki, ułożone niczym promienie słońca na ilustracji w książce dla dzieci. W sumie osiem: słoń, kwiatek, książka, paleta, tygrys, naparstek, serduszko i pierścionek.

Wyjął bransoletkę z pudełka. Była ciężka. Pobrzękiwała, kiedy obracał ją w dłoni. Wydawała się stara. Pięknej roboty. Każdy detal na przywieszkach miał wyraźny kształt. Arthur wyteżył pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć, żeby Miriam kiedykolwiek coś takiego nosiła albo pokazała mu któryś z tych wisiorków. Może kupiła to dla kogoś na prezent. Ale dla kogo? Bransoletka robiła wrażenie drogiej. Jeśli Lucy nosiła biżuterię, to nowoczesne rzeczy ze srebrnego drutu i kawałków szkła lub masy perłowej.

Przez chwilę rozważał, żeby zadzwonić do dzieci i spytać, czy wiedzą coś o bransoletce z przywieszkami, schowanej w szafie mamy. Całkiem uzasadnione, że w tej sytuacji się do nich odezwie. Ale zaraz porzucił tę myśl. Na pewno mają dość własnych spraw na głowie, nie powinien ich niepokoić. Minęło trochę czasu, od kiedy dzwonił do Lucy pod pretekstem jakichś

pytań dotyczących działania kuchenki. A z Danem nie miał kontaktu od dwóch miesięcy. Nie mógł uwierzyć, że syn ma już czterdzieści lat, a córka trzydzieści sześć. Jak to szybko zleciało.

Oboje mieli teraz własne życie. A niegdyś Miriam była ich słońcem, a Arthur księżycem. Teraz Dan i Lucy, odległe gwiazdy, bujały gdzieś w swoich galaktykach.

W każdym razie bransoletka nie mogła być od Dana. Wykluczone. Co roku przed urodzinami Miriam Arthur dzwonił do syna, by mu o nich przypomnieć. Dan zapewniał, że pamięta, że właśnie miał iść na pocztę i wysłać jakiś drobiazg. I zwykle był to drobiazg. Magnes na lodówkę w kształcie opery w Sydney, zdjęcie wnuków, Kyle'a i Mariny, w tekturowej ramce, maskotka – miś koala z samozaciskającymi się łapkami, którego Miriam przyczepiła do zasłony w dawnym pokoju Dana.

Jeśli rozczarowywały ją te prezenty, nigdy tego nie okazała. „Jakie śliczne!”, wołała, jakby to było coś najwspanialszego, co dostała w życiu. Arthur żałował, że choć raz nie zdobyła się na szczerość, nie powiedziała, że syn powinien bardziej się postarać. Ale przecież nawet jako mały chłopiec Dan nie za bardzo zważał na innych ludzi i na to, co czują. Najszczęśliwszy był, kiedy cały umazany smarem rozmontowywał silniki samochodowe. Arthur był dumny, że syn ma trzy zakłady blacharskie w Sydney, ale chciałby, żeby potrafił traktować ludzi z podobną uwagą, jaką poświęcał karburatorom.

Lucy miała więcej wyczucia. Wysyłała kartki z podziękowaniami i nigdy, przenigdy nie zapominała o urodzinach. Jako dziecko była tak cichutka, że Arthur i Miriam martwili się, że ma kłopoty z mówieniem. Ale nie. Lekarz zapewnił ich, że córka jest tylko bardzo wrażliwa. Przeżywa wszystko głębiej niż większość ludzi. Była refleksyjna, poddawała się emocjom. Arthur tłumaczył sobie, że właśnie dlatego nie przyszła na pogrzeb własnej matki. Dan

nie przyjechał, bo mieszka tysiące kilometrów od domu. Jednak choć Arthur potrafił usprawiedliwić ich oboje, to bardziej, niż mogliby sobie wyobrazić, bolało go, że dzieci nie pojawiły się, by pożegnać Miriam jak należy. I pewnie dlatego, kiedy z rzadka rozmawiał z nimi przez telefon, było pomiędzy nimi coś w rodzaju muru. Nie dość, że stracił żonę, to tracił też swoje dzieci.

Złączył mocno palce, ale i tak nie zdołał wcisnąć bransoletki na przegub. Najbardziej podobał mu się słoń. Miał podniesioną trąbę i małe uszy. Słoń indyjski. Arthur uśmiechnął się lekko na myśl, jak bardzo jest egzotyczny. Mówili czasem z Miriam o wyjeździe na wakacje gdzieś za granicę, ale zawsze kończyło się na Bridlington, w tym samym pensjonacie nad morzem. Jeśli kiedykolwiek przywozili jakieś pamiątki, były to pocztówki albo ściereczka do kuchni, a nie złoty wisiołek.

Słoń miał na grzbiecie siedzisko pod baldachimem, gdzie krył się ciemnozielony szlifowany kamień. Obracał się pod palcami. Szmaragd? Nie, na pewno nie, raczej szkieleto albo plastik. Przesunął opuszką po trąbie i dalej, aż do miniaturowego ogona. Miejscami metal był gładki, miejscami karbowany. Im bardziej zbliżał wisiołek do oczu, żeby mu się przyjrzeć, tym mniej wyraźnie go widział. Przydałyby się okulary do czytania, ale nigdy nie mógł ich znaleźć. Miał pewnie z pięć par poutykanych gdzieś po domu. Sięgnął do swojego pudełka z narzędziami i wyjął lupę. Korzystał z niej może raz w roku. Przycisnął ją do jednego oka i skierował na słońca. Przybliżając i oddalając głowę, żeby znaleźć najlepszą ostrość, zobaczył, że nacięcia to tak naprawdę maciupeńkie wygrawerowane litery i cyfry. Przeczytał raz i drugi.

Ayah. 0091 832 221 897

Serce zaczęło mu bić szybciej. Ayah. Co to może znaczyć? I te

cyfry. Odniesienie do mapy, kod? Wyjął ze swojego pudełka mały ołówek i bloczek i zanotował. Lupa spadła na łóżko. Akurat poprzedniego dnia oglądał teleturniej. Prowadzący, o dziko nastroszonych włosach, pytał, jaki jest numer kierunkowy z Wielkiej Brytanii do Indii. Odpowiedź brzmiała: 0091.

Arthur docisnął pokrywkę, zamknął pudełko po lodach, wziął bransoletkę i poszedł na dół. Tam zajrzał do kieszonkowego słownika oksfordzkiego. Definicja słowa „ayah” nic mu nie wyjaśniła – niania lub służąca w Azji Wschodniej lub w Indiach.

Zwykle nie telefonował do nikogo ot tak sobie, w ogóle wolał nie korzystać z telefonu. Rozmowy z Danem i Lucy przynosiły tylko rozczarowanie. Mimo to podniósł słuchawkę.

Usiadł na krześle, którego zawsze używał w kuchni, i skrupulatnie wybrał numer. Po prostu, żeby sprawdzić. To było głupie, ale coś w tym małym tajemniczym słoniu sprawiło, że chciał dowiedzieć się więcej.

Dopiero po dłuższej chwili usłyszał sygnał, a jeszcze dłużej potrwało, nim ktoś odebrał.

– Rezydencja państwa Mehrów. Słucham?

Uprzejma pani miała hinduski akcent. Wydawała się bardzo młoda. Arthur odezwał się drżącym głosem. Co on wyprawia? To jakiś obłąd.

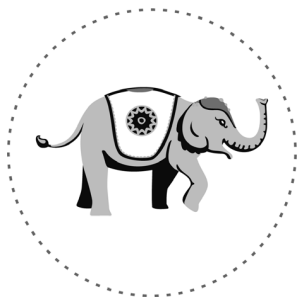
– Dzwonię w sprawie mojej żony – powiedział. – Nazywała się Miriam Pepper, to znaczy Miriam Kempster, zanim się pobraliśmy. Znalazłem wisiołek w kształcie słonia, z tym numerem. W jej szafie. Właśnie sprzątałem... – Urwał, zastanawiając się, co właściwie robi, co opowiada.

Kobieta przez chwilę milczała. Był pewien, że zaraz odłoży słuchawkę albo zbeszta go za strojenie sobie żartów. Ale nic z tych rzeczy.

– Tak. Słyszałam o Miriam Kempster. Zaraz poproszę do

telefonu pana Mehrę. Sądzę, że będzie mógł powiedzieć panu więcej.

Arthur aż otworzył usta ze zdziwienia.



Słoń

Arthur ścisnął słuchawkę w dłoni. Rozsądek nakazywał mu się wyłączyć, zapomnieć o sprawie. Przede wszystkim był to spory koszt. Telefonował do Indii. Nie może być tanio. Miriam zawsze uważała na rachunki telefoniczne, szczególnie kiedy dzwonili do Dana do Australii.

No i miał nieprzyjemne poczucie, że narusza prywatność żony. Ich małżeństwo opierało się na wzajemnym zaufaniu. Kiedy jeździł po kraju, sprzedając zamki i sejfy, Miriam czasem przebąkiwała coś o tym, żeby nie uległ wdziękom jakiejs gospodyni, u której wynajmuje pokój na nocleg. Zapewniał ją, że nigdy nie zrobi nic, co mogłoby zaszkodzić ich małżeństwu czy rodzinie. Poza tym nie był typem mężczyzny, który szczególnie podoba się kobietom. Poprzednia dziewczyna porównywała go do kreta. Twierdziła, że jest nieufny i łatwo się denerwuje. Ale, o dziwo, rzeczywiście miał kilka propozycji. Choć może bardziej ze względu na samotność i desperację tych pań (i jednego pana) niż

ze względu na swoje walory.

Czasami pracował do późna. Mnóstwo podróżował. Szczególnie lubił prezentować nowe zamki z blokadą, wyjaśniać klientom działanie zatrzasków, zasuwek i dźwigni. Coś w tych urządzeniach go fascynowało. Były solidne i niezawodne. Chroniły i zapewniały bezpieczeństwo. Uwielbiał to, że w jego aucie zawsze pachnie olejem, i lubił rozmowy z klientami w ich warsztatach. Ale potem pojawił się internet i kupowanie w sieci. Ślusarze nie potrzebowali już zaopatrzeniowców. Sklepy, które nadal działały, zaczęły zamawiać towary przez komputer, a Arthur został skazany na pracę przy biurku. Kontaktował się z klientami już nie bezpośrednio, ale przez telefon. Nigdy nie przepadał za tą formą komunikacji. Nie wiadomo, kiedy ludzie się uśmiechają, nie widać ich oczu, gdy zadają pytania.

Przykro mu też było, że jest tak mało z dziećmi. Czasem wracał do domu dopiero, kiedy leżały w łóżkach. Lucy to rozumiała i następnego ranka cieszyła się, że go widzi. Zarzucała mu ręce na szyję i mówiła, że stęskniła się za nim. Z Danem było to bardziej skomplikowane. Jeśli Arthurowi udało się, z rzadka, wrócić wcześniej, syn wydawał się niezadowolony. „Wolę być z mamą” – powiedział kiedyś. Miriam przekonywała Arthura, żeby nie brał sobie tego do serca. Niektóre dzieci są bliżej z jednym z rodziców i tyle. Mimo to Arthur czuł wyrzuty sumienia, że starając się zapewnić rodzinie byt, tak mało czasu może jej poświęcać.

Miriam przysięgała, że nigdy by go nie zdradziła, bez względu na to, ile godzin by spędzał w pracy. I ufał jej. Nie dała mu powodu, by jej nie wierzył. Nigdy nie widział, żeby z kimś flirtowała, ani nie natrafił na coś, co by wskazywało, że nie jest mu wierna. No i niczego takiego nie szukał. Choć czasem, kiedy wracał do domu, zastanawiał się, czy pod jego nieobecność ktoś

jej nie odwiedza. Musiało być jej ciężko, samej z dwójką dzieci. Nie żeby się skarżyła. Była naprawdę dzielna.

Starając się pokonać ucisk w gardle, który wywołały te myśli o rodzinie, zaczął odsuwać słuchawkę od ucha. Dłoń mu drżała. Lepiej tego nie ruszać. Rozłączyć się. Ale nagle usłyszał dźwięczny głos.

– Halo. Mehra przy telefonie. Podobno pytał pan o Miriam Kempster?

Arthur przełknął ślinę. Zaszło mu w ustach.

– Tak. Nazywam się Arthur Pepper. Miriam to moja żona.

Jakoś nie mógł zdobyć się na to, by powiedzieć: „Miriam była moją żoną”, bo przecież choć umarła, nadal byli małżeństwem, prawda?

Wyjaśnił, jak znalazł bransoletkę z przywieszkami i słonika z wrytym numerem. Nie sądził, że ktoś odbierze ten telefon. Potem dodał, że jego żona już nie żyje.

Pan Mehra umilkł. Minęło więcej niż minuta, nim się znowu odezwał.

– Och, tak mi przykro. Opiekowała się mną, kiedy byłem mały. Była taka troskliwa. Ale to dawne czasy. Nadal mieszkam w tym samym domu! W naszej rodzinie niewiele się zmienia. Mamy ten sam numer telefonu. Jestem lekarzem, podobnie jak mój ojciec i dziadek. Nigdy nie zapomniałem, jaka dobra była dla mnie Miriam. Miałem nadzieję, że może kiedyś ją odzyskam. Powinienem był bardziej się postarać.

– Opiekowała się panem?

– Tak. Była moją *ayah*. Zajmowała się mną i moimi młodszymi siostrami.

– Była u państwa nianią? Tu, w Anglii?

– Nie. W Indiach. Mieszkam w Goi.

Arthur zaniemówił. Kompletnie osłupiał. Nic o tym nie

wiedział. Miriam nigdy nie wspominała, że mieszkała kiedyś w Indiach. Jak to możliwe? Patrzył na wypełnioną potpourri poduszeczkę w formie liścia, kołyszącą się na sznurku w korytarzu.

– Mogę powiedzieć panu o niej coś jeszcze?

– Tak. Proszę – wymamrotał.

Wszystko, co wyjaśniłoby wątpliwości, co by go uspokoiło, że to pomyłka i że chodzi o jakąś inną Miriam Kempster.

Pan Mehra mówił łagodnym, choć zdecydowanym tonem. Arthur już nie myślał o rachunku telefonicznym. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął usłyszeć, co powie ktoś, kto być może znał i kochał Miriam, nawet jeśli to ktoś zupełnie mu obcy. Czasami, przez to, że nie rozmawiał z nikim o żonie, miał wrażenie, że pamięć o niej zanika.

– Mieliśmy wiele niań, zanim pojawiła się u nas Miriam. Byłem nieżnośnym dzieckiem. Robiłem im kawały. Wkładałem im jaszczurki do butów i dosypywałem chili do zupy. Nie wytrzymały długo. Ale Miriam była inna. Jadła te ostre potrawy i nigdy nie powiedziała słowa. Wyjmowała jaszczurki z butów i zanosila z powrotem do ogrodu. Obserwowałem jej twarz, ale była świetną aktorką. Nigdy nie dała nic po sobie poznać. Nie wiedziałem, czy się na mnie gniewa, czy jest rozbawiona. Z czasem przestałem jej dokuczać. Nie było sensu. Znała wszystkie moje sztuczki! Pamiętam, że miała woreczek przepięknych kulek do gry. Błyszczących jak księżyc, a jedna wyglądała zupełnie jak oko tygrysa. Kiedy graliśmy, Miriam potrafiła razem z nami klęczeć na gołej ziemi. – Zaśmiał się gardłowo. – Trochę się w niej kochałem.

– Jak długo u państwa była?

– Kilka miesięcy, w Indiach. Kiedy wyjechała, miałem złamane serce. To wszystko była moja wina. Nigdy o tym nikomu nie mówiłem. Ale pan, panie Pepper, powinien wiedzieć. O wstydzie,